

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

ASCETKA

Eliza Orzeszkowa

**Ascetka**

«Public Domain»

## **Orzeszkowa E.**

Ascetka / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

„Ascetka” to mądry tekst o duchowości człowieka, meandrach życia, smutku i nadziei oraz o tym, że warto jest zaufać Bogu. Skupiająca się na żarliwej rozmowie z Bogiem zakonnica zostaje wyrwana ze swojego rozmodlenia przez płaczące dziecko – kilkuletnią dziewczynkę. Jej pojawienie się oraz znajome imię dziecka przywołują wspomnienia i skłaniają do refleksji, a intensyfikacja wspomnień prowadzi tytułową ascetkę do omdlenia. Kobieta ma wyrzuty sumienia, że nie koncentrowała się wystarczająco na modlitwie i chce spędzić dodatkowy czas na wielbieniu Boga. Siostry, żyjące z nią w jednym zakonie, mają o niej jednak dobre zdanie oraz uważają ją za religijną i bogobożną osobę. O tym, dlaczego ascetka jest wobec siebie surowa i tak bardzo chce odciąć się od rzeczywistego świata, można przeczytać w pięknej opowieści Elizy Orzeszkowej.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

# Содержание

I	7
II	14
Конец ознакомительного фрагмента.	16

# Eliza Orzeszkowa

## Ascetka

W chwili kiedy *Ascetka*, ukazująca się po raz pierwszy w wydaniu książkowym, oddana została pod prasę, nadeszła do Warszawy żałobna wieść o zgonie Elizy Orzeszkowej.

Dnia 17-go maja roku bieżącego przestało bić Jej wielkie serce. Piękna Jej dusza uleciała od ziemi.

Strata, jaką poniósł naród, jest dotkliwa i dojmująca. Społeczeństwu polskiemu ubyła przewodniczka mądra i miłująca, obywatelka na miarę niepowszednią, pisarka zasłużona i znacznego talentu.

Całe Jej życie było pracą, skierowaną ku odrodzeniu, pokrzepieniu i oświeceniu rodaków.

Urodzona w roku 1842 w Miłkowszczyźnie, pod Grodnem, z ojca Benedykta i matki Franciszki z Kamieńskich, panna Eliza Pawłowska, zaślubiona w roku 1858 Piotrowi Orzeszce, ziemianinowi z powiatu kobryńskiego, przyszła na świat w dobie beznadziejnej, młodocianemi jeszcze oczami patrzyła na powstanie 1863 roku, a działalność pisarską rozpoczęła na ruinach wiary i nadziei, w mroku, jaki zapanował po upadku powstania, wśród ucisku administracyjnego na Litwie i Rusi, wśród apaty, odrętwienia i rozpaczki współobywateli.

W takiej atmosferze trzeba było wielkiej siły ducha, aby wykrzesać z siebie „nadzieję przeciw nadziei”, rozpalic u znicza narodowego kaganiec i pójść z nim pomiędzy słabych, wąpiących i rozbitych.

Młoda, wydana wcześniej za mąż, prowadząca początkowo wesołe życie bez troski, wśród zbytku i rozrywek, pani Orzeszkowa nagle w 20-ym roku życia, spoważniała. Zaczęła innymi oczami patrzeć na świat, szukać „siły niespożytej” w ludzkiej wiejskiej, czytać książki, które wzbogacały Jej umysł i rozszerzały serce.

Jednocześnie wrodzona żywość temperamentu parła ją do czynu, do zużytkowania bujnej energii, do krzewienia swoich przekonań demokratycznych w konserwatywno-ziemiańskim środowisku, z którego wyrosła. Idąc więc za głosem wewnętrznym, który ją wołał na szersze pole, poszła w służbę idei, a pióro stało się w Jej ręku bronią, z którą stanęła do walki o prawdę i sprawiedliwość, o **dzisiaj** i **jutro** narodu, o pomyślność i szczęście całej ludzkości.

Początki pracy literackiej autorki *Nad Niemnem* znane są powszechnie. Mówią o nich wszystkie podręczniki literatury, mówiły niedawno wszystkie artykuły jubileuszowe i wszystkie wspomnienia pozgonne, dumujące zasługi i zwycięstwa niezmożonej bojowniczkii i apostołki miłości, braterstwa i zgody.

Ogarniająca szerokie horyzonty myśl jej, stała jednak przede wszystkim na straży tego, co było bliskie, domowe, co leżało tuż za progiem dworu szlacheckiego.

Uderzyła Ją więc niedola ludu, uderzył stosunek włościan do szlachty, zadokumentowany zachowaniem się podczas niedawnego powstania.

Znając doskonale grzechy warstwy, do której sama należała, smagała ostro jej wady i przywary. Protestowała przeciw bezmyślności i biernemu poddawaniu się losowi, piętnowała brak uczucia, płochość, rozpustę, niezdrowe ambicje, próżne i błyskotliwe życie, wskazywała natomiast obowiązki obywatelskie, twardą służbę narodową na zagonie ziemi ojczystej, wydzieranym z pod stóp, i pracę na szerszej niwie społecznej, gdzie należało podać rękę upośledzonym i wydziedziczonym, aby ich oświecić i dźwignąć do poznania niedoli ogólnej.

Jako kobietę, zajmowała Ją żywo sprawa niewiast polskich. Będąc żarliwą zwolenniczką gruntownych reform w wychowaniu dziewcząt, rozumiejąc, iż nadszedł czas, kiedy żona musi stanąć obok męża, a siostra obok brata do wspólnej pracy i do wspólnej walki o urzeczywistnienie ideału, nawoływała gorąco do kształcenia kobiet, do podniesienia rodziny, do uszlachetnienia związku pomiędzy kobietą a mężczyzną, do większej samodzielności kobiet.

Jednocześnie czujną jej uwagę pochłaniała kwestya żydowska, którą starała się rozwiązać w imię szczytnych hasel braterstwa, posłuszna swemu sercu, nieznającemu innych uczuć, oprócz uczucia miłości.

Jej powieści: *Eli Makower* i *Meir Ezofowicz* wywarły znaczny wpływ na ukształtowanie się stosunku społeczeństwa polskiego do żydów w ósmym dziesięcioleciu wielu ubiegłego, a bodaj nawet, że potrafiły podtrzymać do ostatnich czasów bankrutującą ideę asymilacji.

Wśląd zatem poszły utwory tej miary, co *Niziny*, *Dziurdziowie*, *Cham*, *Bene nati*, *Anastazyja* i wielka epepeja Litwy drobnoszlacheckiej – *Nad Niemnem*. Nazwisko Orzeszkowej nabrało rozgłosu. Czytywano Ją w całej Polsce, tłumaczono na języki obce.

Jednocześnie publicystyczne początkowo jej pióro nabierało zwolna cech na wskroś artystycznych, aby od *Pieśni przerwanej* wznieść się stopniowo do wyżyn dwugłosu *Ad Astra*, pisanego wspólnie z p. Romskim (Kazimierzem Zdziechowskim) i przedziwnie bolesnej, nawskroś pięknej książki *Gloria victis*, w której odbiły się jej własne wspomnienia z powstania i znalazło doskonały wyraz wielkie ukochanie ojczyzny, jej bólów, jej męki i niedoli.

Do bibliografii i do historii literatury należy wyszczególnienie wszystkich pism Orzeszkowej. Tu niepodobna nam ogarnąć jednym spojrzeniem ogromu pracy, dokonanej przez autorkę w jej samotni grodzieńskiej, na tej placówce kresowej, której strzegła pilnie i z całkowitem oddaniem się.

Kilkadziesiąt tomów powieści, odbitych w kilkuset tysiącach egzemplarzy, wywierało przez cały ciąg czterdziestolecia jej pracy, wpływ szeroki na społeczeństwo polskie.

Szły te książki wszędzie. Były pożądanym gościem w mieście i na wsi, w domach mieszczańskich i w izbach robotniczych, w dworach i w chatach.

Ile zdrowych ziarn rzuciły one w dusze ludzkie, ile obudziły uczuć szlachetnych, ile rozjaśniły umysłów – tego nie zliczyć.

Miarą tego może być tylko żal i smutek narodu po stracie tej niezastąpionej przewodniczki, która nie przestawała wołać o wolność i sprawiedliwość dla wszystkich, uczyła kochać i poświęcać się, pracować i wierzyć.

Cześć za to Jej pamięci! Hołd Jej wielkiej Duszy.

## I

Z szelestem grubego płótna rozchyliła się na dwie strony biała zasłona i odsłoniła ogromną, żelazną kratę, rozdzielającą prezbiterium kościelne od klasztornej chóru. Wtedy, organy rzuciły z wysoka wielką falę głębokich tonów, ołtarz zagorzał w olśniewającym świetle i u jego stopni wybuchnął potężny śpiew kleru, towarzyszącego wspaniałej celebrze biskupa.

Boże ku wspomnieniu memu wejrzyj,  
Panie, ku ratunkowi memu pośpiesz się.

Z coraz głębszą i coraz przenikliwszemi tonami napojoną grą organów, we wzrastającym świetle, w migotliwych błyskach złocien, okrywających smukłe kolumny ołtarza, złotem i srebrem naszytych kap, infuły, pastorału i podnoszonych, to opuszczanych ksiąg w drogocennych oprawach; w tłumnych ruchach białych komży, barwnie haftowanych stuł, aksamitnych biretów, szkarłatnych peleryn, a dalej spiętrzonych i wzajem zasłaniających się, to odsłaniających odkrytych głów męzkich i wstęg, piór, woalów, szerokich skrzydeł kapeluszy na kobiecych głowach; – w pierwszych kłębach dymu i jałowcowej woni, wybuchających z rozkołysanych i w pozłocionem powietrzu rytmicznie pobrzękujących srebrnych kadzielnic; – z tej i tamtej strony kraty brzmiały ogromne, tryumfalne chóry:

– Chwała tobie, o Trójco, jedyne i równe bóstwo, teraz i przez nieskończone wieki wieków!

Od kilku szerokich wschodów, rozdzielających kratę od posadzki, kunsztownie z drogocennego drzewa ułożonej, aż ku najdalszej głębi bardzo wysokiej i długiej sali, gdzie w głębokiej niszy róże i lampy otaczały ze srebra ulany posąg świętej patronki klasztoru, zakonnice stały dwoma z rzadka rozproszonymi szeregami, więcej niż połową ciał wyrastające z nad ciemnych ławek, w czarnych sukniach, ostro przerżniętych złotymi liniami krzyży u piersi i śnieżną białością płócien, opasujących czoła i szyje. Na białe płótna zarzucone, czarne welony z głów ich spływały poniżej skórzanych pasów i zwisających u nich różańców, a spuszczone rąbkami ukrywały twarze, aż po rozmodlone i w śpiewie rozwarłe usta.

U góry, prawie w zupełnym mroku, niewyraźnie majaczyły śpiczaste linie sklepień i zarysy wysmukłych okien, z zewnątrz ciemnością wieczoru okrytych. U dołu, z pośrodku sali wyrastał olbrzymi świecznik niby mistyczne drzewo, podnoszący wysoko symbol wiecznej i ani na chwilę nie mającej ustawać adoracji: – ani na chwilę od wieków nie gasnący płomień ogromnej świecy. U dołu także, przy samej ziemi, u samych stóp wyniesionych nieco nad poziom ławek, białe dwa rzędy lekkich woalów, przysłaniających setkę dziecinnych i dziewczęcych głów.

Od ciemnych poręczy wzdłuż ławek biegnących, ostro odrzynały się szeregi splecionych, białych rąk zakonnice, które teraz, z kolei, jedno po drugim rozplatały się i sięgały po zapaloną świecę, podawaną im przez równie białą, z czarnych zwojów habitu wyłaniającą się rękę. W habitach, które od skózanego pasa długą i ciężką falą opadały za nimi na żółte kwadraty posadzki, dwie postacie smukłe, ciche, ze złotymi krzyżami na piersiach, z twarzami aż po zamknięte usta, zasłoniętymi rąbkami welonów, bez najlżejszego szelestu sunęły wzdłuż dwu szeregów ławek i z pęków świec na ramieniu niesionych, a woskową żółtością wśród czerni habitów płonących, jedną po drugiej zapalały i podawały wyciągającym się ku nim z nad ciemnej poręczy rękami. Teraz, dwa rzędy płomyków, wydłużające się coraz, podobnie stawały się do strumieni światła, niecierpliwie dążących ku temu ich morzu, w którym nurzał się ołtarz. Lecz nagle, pochód jednego z nich ustaje, jedna z par rąk na poręczy ławek opartych nie rozplata się i po świecę jej podawaną nie sięga. Podająca czeka chwilę i cicho z pod rąbka welonu szepce:

– Siostró Mechttyldo!

– Będę cię wyznawał wszystkim sercem mojem!... – Po chwilowej ciszy wybuchają z dwu stron kraty dwa potężne chóry i organy z wysokości rzucają pełne, długie akordy.

Siostra Mechtylda nie śpiewa, głowę nisko ma pochyloną i silnie splecione ręce, a blade jej usta powoli poruszają się w szepcie.

– Panie, dlaczegoś mnie opuścił? Chryste, czy łask twoich godną być przestałam?

– Wielkie są sprawy Pańskie... – śpiewają dwa chóry głosów i wtórzają im drżące tryle organów.

Ramię z ciężką świecą, długo już wyciągnięte, drżeć zaczyna.

– Siostró Mechtyldo!

Ona nie słyszy, nie podnosi głowy i rąk nie rozplata, a pomimo nieruchomości postaci niezgłębiony smutek wieje z powolnego jej szepotu.

– Dusza moja zagasała i od ognia, w którym płonęła odsunięta, drży z zimna i trwogi.

Po szczupłych jej ramionach przebiega lekkie drzenie, głowa niżej jeszcze opada i końce cienkich, splecionych palców głęboko wpijają się w liliowe żyły, przebiegające białą i przezroczystą, jak płatek lilii, skórę rąk.

W pochodzie swoim powstrzymana i pochód świateł, ku ognisku ich zatrzymująca, zakonnica dziwi się: „Co jej się stało? Co stało się tej najświętobliwszej, tej najhojniej łaską Pana udarowanej siostrze zakonnej, tej najgorliwszej z Pańskich służebnic? I głosu swojego ze śpiewem siostr nie łączy i jednego z obrządków wielkiego dziś nabożeństwa spełnić nie śpieszy! Może doświadcza jednej z tych świętych wizji, któremi ją, ją jedną z pomiędzy siostr Pan niekiedy nawiedzać raczy? Może jej dusza wnet, wnet przez blade usta, krwawym płomykiem uleci i w tem ognisku światła, które za kratą ołtarz oblewa, utonie?” Pełna pokory wobec duchowej wyższości tej siostry, zakonnica z pękiem żółtych świec na ramieniu, a jedną zapaloną w rękę, chwilę jeszcze stoi i czeka, aż nieśmiałym ruchem habita jej dotyka i znowu szepce:

– Siostró Mechtyldo!

Nakoniec usłyszała i, nie podnosząc głowy, ruchem istoty w śnie pogrążonej, rękę po świecę wyciągnęła. Z przenikliwymi tonami dzwonek, które teraz u stopni ołtarza rozbrzmiały i ze światłami oszklonych pochodni, któremi sługi kościelne nad swojimi szkarłatnymi pelerynami wysoko w powietrzu chwieją, z drżącym głosem starca, który z pod ciężkiej i błyskami dyamentów migocącej infuły sam jeden śpiewa: *Beatus vir, qui timet Dominum*, łączy się niedosłyszalny, bezdennie smutny szepot jej błędnych, powoli poruszających się ust.

– Do łaskawości twojej przywykłam, zbawco mój, i gdy mi ją odjąłeś mdleję i konam!

Od dobywającego się z samego dna jej piersi westchnienia, podnosi się i chwilę nad jej ustami drży w powietrzu rąbek welonu. Od dość dawna, Pan duszę jej zamykać począł w twardej i suchej skorupie, w której jest ona jako łani zbłąkana od źródła, z którego się poila. Zimnem stało się jej wnętrze, panuje w niem martwa senność i z kolei tęsknota tak wielka, że smutki jej czuje ona w szpiku swoich kości i w najdalszych głębiach udęczonego mózgu. Tęskni za życiem gorących uczuć i wysokich wzlotów, które tak długo było jej udziałem, za boskim Oblubieńcem, którego oblicza, wejrzenia, ran namiętnie umiłowanych, już oddawna, ach, jak oddawna nie widzi... bo chociaż oczami ciała na ich wyobrażenia patrzy, oczy jej ducha oślepiły i leniwie do snu pokładły się tajemnicze jego natchnienia i siły...

Od małego ogniska świateł, które przed posągiem świętej patronki w głębokiej niszy płoną, aż do tego ich morza, którym ołtarz jest oblany, w całej długości u dwóch ścian chóru wyciągnęły się już dwa łańcuchy płomieni, do dwu strumyków ku morzu dążących podobne. Wszystkie u szczytów wielkich świec palą się prosto i równo, rzucając w górę cienkie nitki dymu, z którymi płyną w powietrze zmieszane wonie wosku i miodu; tylko z drżącej i pochylającej się w rękę siostry Mechtyldy świecy, grube żółte krople padają na poręcz ławki i usiewają rękaw jej habitu okruciami twardej skorupy. Ona usiłuje obudzić się, rozgrzać i jak ziarnko kadzidła roztopić się w brzmiającej dokoła chwale Pana.

Odmęt tonów, dźwięków, szmerów. Śpiewy umilkły, ale organy nieprzerwanie snują przedzę melodyi, która kłębami opada na dół i głębokimi, to na przemian rozplakanymi tonami bez przerwy i końca rozsnuwa się po świątyni. W ołtarzu jęczą co chwilę wstrząsane dzwonki, brzęczą łańcuchy kołysanych w powietrzu kadzielnic, rozlegają się ciężkie stuki na pulpitych składanych ksiąg, wszędzie, jak krótkie szumy wichrów wzbijają się i opadają zbiorowe westchnienia i jak szemrzące strumienie, płyną zbiorowe, rozmodlone szepty. W tym niezmiernym zbiorowisku dźwięków, ucho siostry Mechtyldy rozróżnia jeden jeszcze, najmniejszy. Jestto ciche, małe, tuż w jej pobliżu, przy samej ziemi, drgające łkanie. Przez myśl jej przebiegają słowa: „ktoś płacze” i nikną, pozostawiając ją tak oschłą i zimną, jaką była przedtem. Nic, nic! Ani jednego wzlotu myśli, ani jednego rzutu uczuć ku niebu i Bogu! Pod rąbkiem welonu oczy zgasłe i osłupiałe są, tak jak i dusza.

Chóry z obu stron kraty po chwilowym milczeniu budzą się i wybuchają śpiewem:

– Chwalcie dzieci Pana, chwalcie imię pańskie...

Siostra Mechtylda śpiewa także, a gdy z piersi jej wychodzą uroczyste tony psalmu, ucho słyszy znowu ciche, niskie, wielkim odmętem dźwięków jakby do samej ziemi przytłoczone łkanie.

– Ktoś płacze!

Nieszpory zbliżają się ku końcowi; tłum nuży się i coraz bliżej przylega do dolnej części kraty, przez którą, od chwili do chwili, gorący jego oddech nakształt powiewu upalnego wiatru, wnika do klasztornej chóru, wzmagając i rozgrzewając w powietrzu napełniające je wonie jałowcu, miodu i wosku. Krata, u samego tylko dołu wydaje się czarną, powyżej bowiem stoi cała w złotym blasku, którym ją oblewa zwisający pośrodku presbyteryum na srebrnych łańcuchach świecznik, olbrzymim snopem płomieni będący. W dole, za czarnym szlakiem żelaznych wiązań, z pełną dokładnością zarysów wypuklają się niektóre postaci z tłumy. Jakieś kapelusze kobiece, błękitne i białe, nakształt wiosennych motyli, nad ciemną masą kołyszą się w świetle. Jakiś starzec przykląkł u załomu ściany i w żarliwym nabożeństwie trzęsie twarzą, jakby ołtarzowi, ku któremu ją podnosi, opowiadał jakąś długą, żalną historię; bliżej jeszcze, kilka par rąk dziecinnych z całej siły czepia się żelaznych prętów i dwie małe, rumiane twarze, ciekawe spojrzenie w głąb klasztornej chóru zapuszczają; a dalej wyosobnione nieco chwieją się nad białymi komżami aksamitne birety, zbliżając się, to oddalając po stopniach ołtarza do tego jego środkowego punktu, kędy pośród smukłych i złotem opływających kolumn, nisko u stóp wielkiego krzyża, a wysoko ponad wszystkim, wzbija się tęczyowy ostrosłup infuły.

– *Jam sol recedit igneus...* – z pod infuły wypływa drżący głos starca.

– Odchodzi słońce ogniste, o Trójca błogosławiona... – słowa hymnu powtarza siostra Mechtylda, a ucho jej, u spodu modlitewnego szmeru, który napełnia chór, łowi mały, cichy, od ziemi ku niej podnoszący się szmer czyjegoś łkania i przez myśl jej przebiega pytanie:

– Kto tam płacze?

Zbyt dawno ziemskie płacze, zarówno jak śmiechy są dla niej marnym pyłem, zbyt głęboko wpiło się w nią przeświadczenie, iż źródła jednych i drugich, jak zresztą wszystkiego co ziemskie, są mętne i wzgardy godne, aby mogła ona teraz spuścić spojrzenie i zobaczyć kto tam przy samej ziemi płacze. Jednak, pytanie to, bez jej wiedzy, w mózgu jej pozostaje i kędyś, w niezmiernie oddalonym zakątku jej istoty, budzi oddawna śpiącą stronę tkliwości ziemskiej.

Gdy więc głos dostojnika kościoła, z pod tęczyowego ostrosłupa rozchodzi się samotny, a w drżącym i śpiewnym jego szmerze, któremu głęboka cisza towarzyszy, małe, ciche łkania u ziemi wyraźniejszemi się stają, w myśli siostry Mechtyldy słowa: kto tam płacze? powtarzają się ciągle, jak niepozbyty wtórny, które szepcą usta. – Niech się wzniesie Panie modlitwa moja, jako kadzidło przed oblicze twoje!

Daremnie! daremnie z wyteżeniem wszystkiej swej woli usiłuje ona modlitwę rzucić jak kadzidło przed oblicze Pana, myśl jej jak ptak z ociężałymi skrzydłami opada ku ziemi z pytaniem: kto płacze?

Myśl, nie wzrok, ten bowiem, z za cienkiej zasłony utkwiony jest w jedyne źródło chwały i nadziei, w jedyny cel dla oczu nieba spragnionych, ziemią gardzących – w ołtarz.

Ale w tej chwili, przy więcej niż kiedy pełnym, rozgłośnym, tryumfalnym hymnie: *Wielbij duszo moja Pana!* rozlega się przeciągły szelest mnóstwa upadających na ziemię kolan, z tamtej strony kraty tłum jak opadająca fala zniża się i po ziemi rozściela, z tej zakonnice, jedna za drugą, z twarzami ku ołtarzowi zwróconymi w ławkach swych klękając, z nad ich poręczy znikają i widać tylko, wśród czarnych habitów błyskające płomyki ich zapalonych świec. Klękając i ukrywając się w ławkach, podnoszą one rąbki welonów, odsłaniają śnieżnymi płótnami opasane czoła. Siostra Mechtylda klęka także i kiedy górną część twarzy odsłania, tuż, tuż przy sobie, w bezpośredniej już swojej bliskości, słyszy znowu na dnie rozgłośnego hymnu szlochające, małe, do ziemi przytłoczone łkanie. Jedno tylko, szybkie, jak strzała wejrzenie rzuca w stronę i znowu z oczami wlepionymi w ołtarz powtarza słowa hymnu.

– Iż wejrzał na pokorę służebnicy swojej...

A przez myśl jej jak strzała szybko przebiegają słowa:

– Dziecko płacze!

Było to małe, ośmioletnie może stworzenie, które, klęcząc, do samej ziemi przychyliło twarz, w czerwonych rączkach ukrytą i osłoniętą zsuwającymi się z ramion skrzydłami muślinowego woalu. Pensyonarski mundurek ciemny i krótki, do połowy tylko zasłaniał jej nogi w białych pończoszkach, u których końca drobne stopy, żółtą podszwą obuwia świecące, od chwili do chwili uderzały o siebie w spazmie płaczu, który ramionami jej wstrząsał i którego grube krople przeciskały się przez drobne różowe palce. Płakała jak płaczą małe dzieci, deszczem łez, z drżeniem całego ciała, z ciągłym, obfitem szlochaniem. Nagle, uczuła, że czyjaś ręka dotknęła muślinu małego jej woalu i tuż przy swoim uchu usłyszała szept:

– Czego płaczecz?

Podniosła z nad ziemi głowę, lecz była tak rozplakana, że czerwonymi piąstkami oczy przyciskając, wydetemi w skardze ustami wymówić tylko mogła:

– Za mamą...

Zaraz jednak, jakby przypomniawszy sobie krzywdę komuś wyrządzoną i nowy potok łez piąstkami, jak korkami tamując, dodała:

– I za tatką...

Nad samem jej uchem bardzo cichy szept zapytał jeszcze:

– Kiedy tu przybyłaś?

– Wczoraj.

– Jak ci na imię?

Teraz dziewczynka, wszystkie łzy zatamować już zdoławszy, ku pytającej twarz obróciła.

– Klarcia – szepnęła i oczami, w których zdziwienie i trwoga łzy osuszały, wpatrzyła się w zakonnice, która wśród ciemnych poręczy ławki, wysmukła i prosta, z zapaloną w rękę świecą klęcząc, przez chwilę wzrok w nią wpijała. Przez chwilę ascetka i dziecko twarzą w twarz na siebie patrzyły. Po delikatnych, chudością policzków i nosa zaostrzonych, białą jak opłatek skórą powleczonej rysach siostry Mechtyldy, przebiegały szybkie drgania, oczy jej, pod białą opaską głęboko zapadłe, nagle jak dwa ogniska bólu i trwogi zapłonęły. Imię dziewczynki jak strzała w pierś jej wpadło. Tak niezmiernie dawno już go nie słyszała, a tak niezmiernie często wymawiała je niegdyś... w innym życiu, na innym świecie!... Z innego życia i świata, z jej własnej, jednak odległej, z duszy wyrwanej, na śmietnisko wzgardy rzuconej przeszłości, przybywało to imię niegdyś tak drogie jej, a potem tak ohydne? Ale kiedy dziecko, twarzą ku niej zwrócone, wpiło w nią wzrok ciekawy i nieśmiały, siostra Mechtylda zeszytniała w niewysłowionej grozie. Te oczy, duże, ciemne, od złotych rzęs i włosów nabierające wielkiej słodyczy i głębi, znanymi są jej także. To dwa źródła, z których niegdyś, w innym życiu, było dla niej zrazu szczęście bez granic, a potem niewymowna

męka... Jej imię i jego oczy... czy w postaci tego dziecka zły duch... czy to nowa próba, którą zsyłasz na mnie, Zbawco mój?...

Pełna przestrachu, jak jaskółka w szponach jastrzębia, od stóp do głowy drżąca, siostra Mechtylda ku ołtarzowi twarz obraca. „Te ziemskie, obrzydłe, wzgardzone wspomnienia, sąż karą, przestrogą lub próbą, którą zesłałeś na mnie, Panie mój, wtedy właśnie gdy duch mój, oschły i roztańgniony, leniwie i z udęczeniem skrzydła ku Tobie podnosił?”

Ale uwielbione imię Pana na ustach jej zamiera, z myśli ustępuje światło przytomności i z przestrachem, który miesza się z upajającą rozkoszą, czuje ona zbliżenie się jednego z tych zachwyconych widzeń, których już parę razy w zakonnym życiu swem dostąpiła. Ale wtedy widziała ona i słyszała to, co ją całą napełniało; teraz zaś, oczom jej ukazuje się obraz, który dziś jeszcze, przed kilku minutami, tak był od niej odległym jak od przeistoczonej do głębi istoty człowieka odległą jest jej własna, lecz falą czasu i własnych jej odmian odepchnięta przeszłość. Za ogromną, w złotych błyskach zdającą się drgać kratą, zamiast ołtarza, wysokich sklepień świątyni i nisko na ziemi rozesłanego tłumu, widzi ona pod błękitną kopułą nieba pole, ścielące się złotem kłosów, kwiecistymi miedzami przerżnięte, oświecone płonącym pośrodku kopuły wielkim, złotem, słońcem... Na twarzy i ustach czuje przelatujący powiew upalnego wiatru i wraz z nim lecącą miodową woń kwiatów, a z oddali, z oddali, z oddawna zapomnianej i którą za umarłą miała, z głębi jej duszy, dobywa się głos dźwięczny, wołający: „Klarcu! Klarcu!” i tuż za jego dźwiękami, z pod słońca, w powietrze rozpromienione, spływa parę ciemnych, głębokich i słodkich oczu, które patrzą na nią... a ona od nich wzroku odwrócić nie może...

Krzykiem, który wydała z piersi, zgaszona świeca z ręki jej wypadła i czoło ze stukiem uderzyło o drewnianą podstawę ławki, lecz krzyku, ani stuknięcia nikt nie usłyszał. Przed ołtarzem, twarzą ku ludowi zwrócony, dostojnik kościoła w rękach, owiniętych złotem przetykaną krepeą, trzyma rozbłysłą jak słońce monstrancję i powolnym wspaniałym ruchem kreśli nią w powietrzu, nad rozesłanym przed nią ludem, wielkie znaki krzyża. Głos jego wzmagą się w brzmienie i siłę, coraz też głębiej, błagalniej wtórują mu organy, coraz gęstszymi powiewy wybuchają oddechy tłumu, a szepty jego, do szmerów morza podobne, coraz wyżej wzdymają się westchnieniami:

– *Salvum fac populum tuum Domine!*...

W ławkach, w których głowy zakonnic pochylają się ku samej ziemi, biegną żarliwe półgłosy.

– Zbaw lud twój Panie...

Jeszcze jeden wybuch ogromnego chóralnego śpiewu, jeszcze najpotężniejszy akord organów, jeszcze kilka słonecznych rozbłysków monstrancji, wielki, w powodzi światła krzyż zakreślającej, głuche stuknięcie zamykanego cyboryum, tłumne stąpanie kleru, postępującego za odchodzącym od ołtarza swoim zwierzchnikiem i – z szelestem grubego płótna zsuwająca się biała zasłona zakrywa ogromną, żelazną, w gasnących światłach pociemniałą kratę.

Zakonnice powstają z klęczek, gaszą świece i z głuchymi stukami składają je na poręczach ławek, wysoką i długą salę napełnia półmrok, w którym nikną u góry śpiczaste linie sklepienia, a u dołu mętnie na ciemnym tle drzewa rysują się dwa szeregi czarnych, złotem krzyży i białością płócien pobłyskujących postaci. Jaśniej i goręcej w zamian płonie teraz na tle zmroku pełna lamp i róż nisza ze świętym posągami, a w blasku od niej padającym, z doskonałą wyrazistością zarysów uwypukla się postać, w najdalszej głębi chóru, w odosobnionej i najwyżej wyniesionej ławce siedząca. Jest to przełożona klasztoru, której oczy zdala nawet jaśniej pogodnym i czystym szafirem, a twarz starzejąca się, lecz jeszcze czerstwym rumieńcem oblana, z wyrazem powagi, łączy przyrosły jakby do niej wpół dobroduszny, wpół mądry uśmiech. Trochę energii i wiele dobroci jest w tej pełnej, rumianej twarzy, prześlicznym szafirem żrenic oświeconej i która wyłaniając się z bieli opasek, po długich modlitwach zda się powracać z nieba na ziemię, w pokoju i zgodzie z niebem i z ziemią. Ręce ma pobożnie splecione, ustami w cichej modlitwie porusza, ale wzrokiem, zdającym się pomimo jej woli uśmiechać i pieścić, ściga białe woalki dzieci, które gromadnie, z tententem drobnych stóp wśród ciszy i zmroku chór opuszczają. Potem, gdy za ostatnim już ich szeregiem zamykają się wysokie

drzwi chóru, podniesionym głosem rozpoczyna modlitwę, którą półgłosem podejmują stojące w ławkach swych zakonnice. W jednym przecież z ich szeregów istnieje szcerba; siostra Mechtylda pozostaje niewidzialną, bo nieruchoma klęczy ciągle w głębi wysokiej ławki, z czołem do podstawy jej przyciśniętem.

Po mrocznym chórze rozchodzi się tłumnym szmerem wymówione: Amen i zapanowuje chwilowa cisza. Wtedy siostra Mechtylda podnosi się, z podstawy zstępuje i, jak wysmukły cichy cień, ciągnąc za sobą długie zwoje habitu, szybko, a bez szelestu przesuwa się przez padającą od świętego posągu smugę światła i u kolan przełożonej, z pokornie schyloną twarzą i splecionymi na piersi rękami, klęka. Nie mówi jednak nic; zapytania, które ma być zarazem pozwoleniem mówienia, oczekuje. Przełożona nie daje długo na nie oczekiwać.

– Czego żadasz, siostrze w Chrystusie?

Wtedy ona głosem słabym, ale tak wyraźnym, że każde jej słowo przez ostatnie z dwu szeregów sióstr usłyszanem być może, mówi:

– Upokarzam się przed tobą, matko wielebna i przed całym zgromadzeniem moich sióstr w Chrystusie i wyznaję ciężki grzech, jakiego się dziś przeciw Panu mojemu dopuściłam. Oto, zamiast roztapiać się razem z siostrami memi w rozważaniu i chwale Jego wielkości, dusza moja zajęta była ziemskimi myślami i wpatrywała się w ziemskie wspomnienia, które przed nią roztaczał duch złego. Dla tej to ciężkiej winy mojej, proszę cię matko wielebna, w imię Jezusa Chrystusa Pana naszego, o pozwolenie przepędzenia całej nocy dzisiejszej na pokutnych modlitwach w kaplicy Najświętszego Serca.

Przy ostatnich wyrazach głos jej drżał łzami i przejmującym cierpieniem.

Przełożona nie zaraz odpowiedziała, na pogodną twarz jej wybił się wyraz niezadowolenia i frasunku. Wielce dbała o duchową czystość i doskonałość sióstr, jej zwierzchnictwu poddanych, dla zdrowia ciał ich nie była także obojętną, a zbyteczne ich umartwianie nie wiele zajmowało miejsca w prostym i łagodnym całokształcie głębokiej przecież jej wiary. Chudość i przezroczyista bladeść siostry Mechtyldy oddawna już ją niepokoiły i wiedziała ona dobrze, czem dla kruchego naczynia duszy musiała być noc spędzona bez snu i spoczynku, w roztkliwieniach skruchy i pokuty, na marmurowej posadzce najświętszej z klasztornych kaplic. Więc, po chwilowym milczeniu, pełnym powagi głosem, zaczęła:

– Ułomnym człowiek jest, ale miłosierdzie Pańskie bez granic. Rozważ, siostrze, czy nie popełniasz grzechu zwątpienia o miłosierdziu Pana?

Siostra Mechtylda nieruchomą pozostała, ale na zaostrzonych jej rysach i w zaciśnięciu się rąk splecionych odmalował się upór żelazny. Tym samym, co wprzódy, cichym, ale wyraźnym głosem odrzekła:

– Święta reguła nasza rozkazuje nam za grzech popełniony czynić bezzwłoczną pokutę.

Miała słuszność i przełożona wiedziała o tem dobrze. Wiedziała ona także, że jej energia gięła się zawsze i ustępować musiała przed bieglem znanstwem klasztornej reguły i nieugiętą w duchowych sprawach wolę tej siostry. Inna, zrozumiałwszy w radzie ukryty rozkaz, powstałaby od jej kolan w sumieniu swoim uspokojona; ta przypomniawszy jej, że zwierzchnictwo przełożonej i posłuszeństwo podwładnej mają granicę, którą jest święta reguła klasztorna. Po chwilowym więc milczeniu, końcami palców pochylonej przed nią głowy dotykając, wymówiła:

– Idź i czyn w Bogu pokutę swoją.

Siostra Mechtylda, z klęczek powstawszy, prosta i wysmukła, choć z głową schyloną, przeszła znowu przez smugę światła i w prowadzących ku wyjściu mrocznych głębiach chóru zniknęła.

W kwadrans potem trzy lampy w żelaznych oprawach, od wysokich sklepień sufitu na grubych łańcuchach zwisające, mętne półświatło rzuciły na wysokie ściany refektarza, na wąskie jej okna, posadzkę z kamiennych płyt ułożoną i cztery długie stoły, grubym płótnem okryte, a przez siedzące dokoła nich siedzące zakonnice otoczone. Spożywając wieczerzę, siostry powściągliwymi głosy ze sobą rozmawiały, tu i owdzie nawet, w półgwarze i półświecie zadzwonił mały, stłumiony śmieszek.

Miejsce siostry Mechtyldy było próżne. W połowie wieczery, trudniąca się kuchennym dozorem matka Floryanna, sztywna, koścista i żwawa, w swym wysoko podniesionym dla gospodarskich potrzeb habicie, z dwoma cynowemi talerzami w ręku wstąpiwszy na wyniesienie, na którym wyosobniona i nad całym zgromadzeniem górująca siedziała przełożona, jadło na małym stole postawiła i zcicha rzekła:

– Zdaje mi się, matko Romualdo, że siostra Mechtylda zgrzeszyła dziś nieposłuszeństwem względem zwierzchności. Wszak wyraźnie do zrozumienia jej dawałaś, że odbywanie całonocnej pokuty dla błahych przyczyn, sprzeciwia się twojej woli.

Matka Romualda podniosła na mówiącą swoje pogodne, szafirowe oczy i w znak porozumienia uśmiechnęła się do siostry, z którą długi wspólny pobyt w klasztorze związał ją zażyłą przyjaźnią. Tym trochę żartobliwym uśmiechem matka Romualda zdawała się mówić: „Cóż poradzę z tą żarliwą i w znajomości reguły tak biegłą”. Ale wnet uczuła skrupuł sumienia. Jeżeli bowiem surowość siostry Mechtyldy dla samej siebie i wogóle wszystkiego, co cielesne i ziemskie, zdawała się jej przechodzić nieraz granice, przez wiarę i przez regułę zakreśloną, to jednak czuła ona w niej i czciła większy niż u innych żar i polot ducha, więc i teraz po żartobliwym uśmiechu i wzruszeniu ramion spoważniała.

– W pokorze ducha wyznajmy, matko Floryanno – rzekła – że z pomiędzy nas wszystkich siostra Mechtylda posiadała z łaski Pana najżarliwszą pobożność i najwyższą pogardę dla świata.

Z półgłównym szmerem wspólnej modlitwy zgromadzenie refektarz opuściło, a wkrótce potem przenikliwy odgłos dzwonka, rozchodzący się po klasztornych korytarzach, salach, celach i przez grube mury wydostający się na dziedzińce i ogrody, ogłaszał *silentium*, to jest porę, od której wszystkie rozmowy na całą noc ustać były powinny, w której siostry kładły się do niedługiego, lecz spokojnego snu.

Potem na wieży kościelnej, na chórze w różnych częściach rozległych gmachów klasztornych, zegary godzinę po godzinie wybijały, o jednej z nich rozległy się słabe, ale gwarne dzwonki, zakonnice na jutrznię budzące, a po jutrzni, której chóralne śpiewy melancholijnymi tonami płynęły w ciemnościach długich korytarzy, zrzadka palącemi się lampami tu i owdzie rozproszonych, znowu zapanowały wszędzie sen i spoczynek. Ale w kaplicy, której ciemne ściany, w skąpym świetle płonącej przed ołtarzem lampy, mętnie i ze stron wszystkich błyskały okrywającemi je złoceniami, przed ołtarzem, na którego ciemnych kolumnach i ramach, wśród ponsowych aksamitów i atłasów, pobożne wota rozwiesiły mnóstwo różnej wielkości złotych i srebrnych serc, siostra Mechtylda leżała na marmurowej posadzce, z grubym powrozem dokoła szyi po kilkakroć owiniętym, z czołem o zimny marmur opartem i rozpiętym w znak krzyża rękami. Powoli jedna za drugą wlokły się nocne godziny, gwałtowny wiatr marcowy z przeciągłymi szumami uderzał o ściany kaplicy i ostremi strugami wnikał do niej przez szczeliny wysokich okien, chłód podłogi przejmował leżącą, nieznośne kurcze zdejmowały rozciągnięte jej członki, ona jednak, w dręczącej postawie nieruchomą zostawała, w śmiertelnej trwodze i walce, błagając Pana, aby przykrócił zesłaną na nią próbę i oddalił od niej te dźwięki i te widzenia, które z ust i twarzy rozplakanego dziecka wyłonione, niestannie, nieprzeparcie otwierały na dnie jej duszy, oddawna tam zamknięte i obrzydzone groby ziemskich wspomnień...

## II

Miała słuszość matka Romualda; w psychicznej istocie siostry Mechtyldy sprężyną, nad innemi panującą, była pogarda dla świata. Posiadła ona żarliwą wiarę w rzeczy niebieskie i wielką zdolność do idealnych uniesień, lecz górującem nad wszystkimi jej uczuciami uczuciem, pierwszym źródłem ich wszystkich, była pogarda dla świata. Powstała w niej ona i niezmiernego wzrostu dosięgła wskutek całego szeregu przyczyn, częścią z jej własnej natury, częścią z zewnętrznego świata pochodzących. Dzieciństwo i pierwsze lata młodości miała szczęśliwe; spędziła je w niezmaconej harmonii rodzinnej, we wszystko upiększającym dostatku, w świeżości i ciszy wiejskiej. Ten doskonale pogodny poranek życia, rozłogami szerokich pól od różnorodnych spotkań i doświadczeń odsunięty, głęboko wpoił w nią wiarę w dobroć ludzi, w radość bytu, w konieczność szczęścia. Ani w życiu jej i otoczeniu, ani w jej własnej naturze nie było nic, co mogłoby dać jej poznanie, obudzić choćby przeczucie złego. Poprostu, nie myślała o niem wcale i choć niekiedy przesuwaty się przed nią słabe jego cienie, w świetle, które ją otaczało nie spostrzegła ich, lub prędko o nich zapominała. Miała lat prawie dwadzieścia, a była jeszcze cała błękitną, jak to niebo, które przywykła od krańca do krańca obejmować wzrokiem. Świeże, bez granic ufne uczucia i nadzieje kipiały w niej i śpiewały, jak srebrne wody w zdroju. Była prostą, świeżą, bez granic ufną i – nieświadomą.

Świadomość złego, które ostrym mieczem z oczu zdejmuje zasłony i serca rozdziera, nie spełniła względem niej swojej niezbędnej czynności stopniowo i powoli, jak bywa najczęściej, ale okrutnie i nagle. Nagle zobaczyła ona rzeczy, przed którymi mrużą się z przerażeniem i boleścią najświadomsze nawet oczy. Była to wojna. Jednak, w ciemnościach nagle około niej i w niej powstałych, świeciła jeszcze jedna gwiazda. Przed strasznym momentem, który na dwie zupełnie różne połowy przeciął jej życie, kochała i była kochaną. Jak ścigana sarna, z obłąkanem od trwogi okiem, lecz niezgasłą jeszcze nadzieją ratunku pędzi ku swym znanym, domowym, bezpiecznym zaciszom leśnym, tak ona zwróciła się ku temu, którego obraz wśród bezdennych jej rozczarowań i przerażeń chronił w niej od ostatecznego zgonu wiarę w dobroć ludzi i nadzieję szczęścia. Pomimo wszystko, ta wiara i nadzieja żyły jeszcze na dnie jej serca, a w siłę wznagały się przez to, że przed tym, którego kochała, przyszłość otwierała się pełna różnorodnych nędz i smutków. To właśnie pocieszało ją najwięcej. Cierpieć z nim i dla niego wydawało się jej powinnością i szczęściem. Na pustyni zwątpienia, wiarą i nadzieją świeciły jeszcze przed nią ciemne, duże oczy, które od jasnych rzęs i włosów nabierały wielkiej słodyczy i głębi, a niedawno jeszcze – choć zarazem i tak dawno! – rozkochanem wejrzeniem wtórzyły młodym ustom, przyrzekającym jej wieczną miłość. Przyszła i obok tego, który jej wieczną miłość przyrzekał, znalazła inną, a tak jej zdawna bliską i drogą, że gdyby wśród nich dwojga wybierać jej kazano, serce jej długo pomiędzy miłością a przyjaźnią wahaćby się musiało. Lekkomysłna, samolubna, czy namiętna, ta kobieta, która z nią dzieciństwo i młodość spędziła, bez wahania i skrupułu użyła jej nieobecności, a swoich zalotnych, przemyślnych powabów, aby serce jego jej odebrać i ją przy nim zastąpić. Na ten widok nie powstała w niej nawet myśl o walce, lub o dopominaniu się o swoje prawa pierwszeństwa. Usunęła się z pozorną obojętnością i przed wszystkimi w ciemni nocy ukrytym płaczem, w którym skonowała cała jej przeszłość. Gdy przestała płakać, śmiała się z własnego szaleństwa, które tak długo ją oślepiąło. Jakto! nie widywałaż i przedtem zawodów, krzywd, cierpień, śmierci? Owszem, teraz gdy zaczęła pilnie w pamięci grzebać, przypomniała sobie, że je widywała, lecz za rzadkie i nikłe cienie poczytywała to, co właśnie było jedyną stałą prawdą świata i życia. Do obrazu tej prawdy, który stanął przed nią, niczego już nie brakowało. Patrzała na ludzką niedolę, słabość i zmienność, widziała jak umierają ludzie, idee i uczucia. Złość i znikomość dwoma mieczami przecięły w niej do ostatka korzenie dawnego jej życia; na krwawych ranach jej serca zasiały się nuda próżni i trwoga – przed wszystkim. Zaród melancholii, który istnieje w każdej istocie ludzkiej, gorące uczucia i umysł do zastanawiania się zdolny posiadającej, w pogodzie jej lat minionych bezpłodny, teraz zakiełkował i szybko wybujał. Ani

zabawa pocieszyć, ani praca zająć jej nie mogły. Wśród zabawy ściagały ją wspomnienia widzianych i poniesionych cierpień, od pracy odrywała jej ręce wiedza o kruchości wszystkich zdobyczy. Czyliż wobec powszechności zła, wesołość nie jest największym złem, a wobec powszechnej znikomości praca najwyższym głupstwem? Jedna i druga należą do tych złudzeń, któremi człowiek sam przed sobą zasłania nędzę swoją i świata. Ona dość już miała złudzeń i rozczarowań, pięknych snów i okrutnych przebudzeń, nie chce już ani jednych, ani drugich, nie chce nic, nie ufa niczemu, nie spodziewa się niczego... jak atom po przestworzu, dusza jej w cielesnej swojej powłoce błądzi po wzgardzonym świecie, nudą próżni przejęta i ani przeznaczeń swoich, ani dróg i końca nie rozumiejąca. Dostatek materialny posiadała, więc powszednie troski nie przybiegły jej ze swoją surową, lecz niekiedy zbawienną pomocą, nie była zaś z tych, którzy bez celu dla uczuć i myśli spokojnie i błogo tuczyć się mogą bezpiecznym, obfitym chlebem. Popadła w nędzę moralną, tem sroższą, że ją poczytywała za jedną tylko kroplę z oceanu nędzy powszechnej.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.